

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Dawniej lepiej było.

W naszej wiosce za mych latek
Inszy bywał ruch!
I wesele i dostatek,
Każde dziewczę gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum młodzi biorą,
Ale idzie coś niesporo,
Insze czasy masz!
Starym kwieciami łąka kwitnie,
Pokarłały kłosa żytnie,
Zbladła ludziom twarz!...

Czy w jesieni, czy to w wiosnie
Były piękne dni,
Czy pracuję, serce rośnie,
Czy się bawim, to rozgłośnie,
Aż gospoda drży!

Dzisiaj ludzie już nie tacy
I do czarki i do pracy —
Wiem ich siłę, wiem!...
A ojcowie dzielni, starzy
Spoczywają u cmentarzy
Wiekniustym snem!

Pójdę do nich — na mogile
Będę płakać rad,
Do nich miodu dzban wychylę,
I pogwarzę choćby chwilę
Z ludźmi dawnych lat!



Król i wójt.

Powieść z lat dawnych.

przez

Stefana Gębarskiego.

(Ciąg dalszy.)

Jakby rozumiejąc obawy rycerzy, oba ich konie stały cicho w miejscu, niby wryte.

Hałas zapelniał puszcę coraz to większy, już teraz można było słyszeć głośnie pieśni niemieckie, nuczone przez żołnierzy, rozmowy, żarty, śmiechy.

— Cofnijmy się! zginiemy, jeśli nas tutaj dostrzegą — rzekł Piętka.

— Zapóźno! mogą usłyszeć stąpanie naszych koni. Lepiej stać, póki nie przejdą.

— A ja radzę zwolna, noga za nogą oddalić się nieco. Jesteśmy blisko skraju lasu.

I Piętka cofnął konia i ostrożnie zagłębił się w gęstwinię, a za nim Dąbek. Gwar, szcęk mieczy, rżenie i chrapanie koni wciąż dochodziły ich uszu.

— Moc wielka ich wali! — szepnął Dąbek.

— Bóg ustrzeżł, żeśmy się z nimi nie spotkali. Zakłótyby nas psubraty!

— Ba! toć ich tam nie jeden tysiąc ciągnie.

— Pewno że tak. Hałas i gwar czynią, jak roje pszczół, szukając nowej siedziby.

Przycichli, bo w pobliżu zarośla zaszeleściły.

— Stać! — szepnął Dąbek.

Szelest i trzask gałęzi powtórzył się, konie obu rycerzy nagle zjeżyły grzywy i zaczęły drzeć i zrywać się w biegu.

Zaledwie żelazne dłonie jeźdźców utrzymały je w posłuszeństwie.

Tuż o kilkanaście kroków Dąbek ujrzał mnóstwo ciemnych ruchomych pni, które szybko przedzierały się przez gąszcze.

— Dziki! — szepnął Piętka.

— Całe stado!

Uciekli znowu, bo za spłoszoną gromadą tych gruboskórych, o białych kłach, ostrych jak brzytwy, mieszkańców bagnistej puszczy, ukazało się w pewnem oddaleniu kilku jeźdźców na rosłych koniach.

— Teraz w zarośla! — szepnął Piętka — nie usłyszą nas.

I korzystając z trzasku gałęzi i hałasu, który sprawiły dziki, pomknęli żwawo w bok puszczy.

Nie ujechali kilkunastu staj, gdy nagle ujrzeli po przez drzewa srebrną wstęgę wody.

— Jezioro?

— Cóż ty mówisz? toć rzeka!

Dąbek z podziwem wysunął głowę i patrzył.

Istotnie szeroka wstęga rzeki, osłonięta z jednej strony ciemnym płaszczem puszczy, z drugiej zielonymi krzewami wikliny, leszczyny i lasem sitowia, majestatycznie ciągnęła się w dal modrą, skąpaną w złotych promieniach słońca.

— Wisła!... ani chybi Wisła! — szepnął Dąbek.

— Jużciś Wisła — dodał Piętka — bo innej tak wielkiej rzeki nie ma w tych stronach. Okazuje się, żeśmy wczoraj, błędząc wśród puszczy, zamiast w stronę Lelowa zbliżyli się ku Sandomierzowi.

Stali w ciszy, patrząc, jak na przeciwnym brzegu zaroilo się nagle od ludu zbrojnego, głośne wydającego okrzyki.

— I tam Niemcy i Czesi! — szepnął Dąbek.

— Radują się ze spotkania. O, patrz, już szukają brodu.

Jakoż okryci w stalowe zbroje najemni rycerze wacławowscy w kilkunastu miejscach wjechali w rzekę, która wydawała się płytką. Inne oddziały zawartą masą, śpiewając rozgłośnie, stanęły na brzegu rzeki. Wyglądały na podobieństwo barwnej, ruchomej okrytej stałą ścianą, u której stóp ślizgały się szare, zwinne fale.

Widocznie wodzowie tego wojska dobrze byli powiadomieni o brodzie w tem miejscu rzeki.

— Pod Kraków te trutnie spieszą — rzekł Dąbek — pilno im Albertowi rękę podać.

— Chyba prędzej pod Sandomierz, zamek i miasto nagłym napadem ubiedz! — odrzekł cicho Piętka.

— Moc ich wielka.

— Ale przy Łokietku chyba nie mniej hufów? Dąbek westchnął.

— I połowy nie ma! Więcej miłościwy nasz pan fortelami i osobistem męstwem, niż siłą zebranego wojska walczy. Ma też z Węgier przyprowadzonych kilkunastu świetnych rycerzy, którym chyba równych nie masz w całym świecie.

— Radbym ich zobaczyć — szepnął Piętka.

— Może Bóg da, że zobaczycie. Niech się ei jeno przeprawia, to zaraz puścimy się w drogę.

Gdy oni tak rozmawiali, srebrzysty, różno-

barwny wąż liczego rycerstwa ślizgał się wszęsz rzeki, do przeciwnego brzegu.

Kilka łodzi przybyło z tamtąd i wsiedli do nich znaczniejsi ze starszyny, których konie pacholkowicie brodem przeprowadzali.

Widać było, jak wygodnie siedząc, dowódcy głośno rozprawiali, pijąc z beczulek na dno łodzi rzuconych jakiś napój, jużciś miód i wino.

Nagle Dąbek chwycił za ramię Piętka.

— Dziw nad dziwy — szepnął.

— Co takiego?

— A ot!... trzcina od naszego brzegu poruszyła się i o! pod wodą plynie!

Szlachcie spojrzal we wskazanym kierunku i w rzeczy samej ujrzal dziw nad dziwy: od bujnie sitowiem zarosłego brzegu trzcina jak żywa nieznacznie wędrowała w stronę płynących ze starszyny łodzi.

— Rany boskie! — szepnął Piętka — to mazurecki fortel. Nasi muszą być gdzieś w pobliżu.

— Jaki fortel? — zapytał nieco głośno zdumiony Dąbek, ale szlachcie zgromił go:

— Cicho na Boga, i patrz, a broń trzymaj w garści. Zobaczysz, co się tu dziać będzie.

— Ku-ku!... kuku!... — odezwał się naraz rozgłośnie głos kukułki z pobliskiego drzewa.

Odpowiedziano na to kukanie podobnie, ale z gąszczów leśnych, z przeciwniej strony rzeki.

Zaraz nieco dalej odezwał się w borze przeciągły krzyk puhacza, na który zaraz z głębi puszczy odpowiedziwały inne, poczem wszystko naraz ucichło.

— Hasła! jak mi Bóg miły, hasła! — szepnął Piętka.

Dąbek nagle poczerwieniał z radości.

— Jużciś tak! hasła! Jenó patrzeć jak nasi zaczną prać tych obieżyświatów. Nie wytrzymam, ręka mnie świerzbí.

Stój w miejscu, jeśli ci życie miłe. Przyjdzie czas i na nas, a teraz patrz, gdzie to owa trzcina zawędrowała.

— Na środek rzeki.

— A jużciś na środek. A z drugiej strony taka sama posuwa się na spotkanie łodzi, w której pije sobie, baraszkuje i śpiewa starszyna.

— Oj, będzie wnet taniec, będzie!

Po pewnym czasie trzcina z przeciwnego brzegu nieznacznie podpłynęła do łodzi, w których dowódcy rozgłośnie śpiewali niemieckie pieśni.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wygnańcy w lesie.

Powieść z angielskiego

przez R. M.

(Ciąg dalszy.)

Leonek usłuchał natychmiast, inaczej nie do-
lałby dobieść do mostu: jaguary były zaledwie o
dwadzieścia kroków od niego, kiedy rzucił pier-
wsze małe. Dobiegłszy do miejsca, gdzie spoczy-
wało ich dziecko, jaguary zatrzymały się, lizaly
je i okrywały pieszczotami. — Trwało to jednak
bardzo krótko; samica ruszyła pierwsza, za nią
pobiegł samiec. Przybyli oni wkrótce do drugiego
jaguarka i zatrzymali się tak, aby go popieścić.

Donna Izydora i don Pablo mieli trochę na-
dziei, że dzikie bestye zostaną przy swych dzie-
ciach. Ale raz podrażniony jaguar nie ustępuje;
prześladuje on przeciwnika uparcie nie zważając
na żadne przeszkody. Za chwilę też oba jaguary
popędziły śladami Leonka. Ale chłopiec zdołał już
przebiec most, a Guapo pomógł mu wydostać się
na brzeg i nakazał uciekać co tchu do domu. Sam
zaś został przy moście.

Guapo wiedział o tem dobrze, że jaguary, jak
wiewiórki z łatwością w paru skokach przebędą
wąską kładkę, należało więc ją copredziej zni-
szczyć. Guapo zaczął rąbać kłody — wszystkie
jego mięśnie zaokrągliły się od wielkiego wysiłku,
a uderzenia rozlegały się raz po raz z zadziwia-
jącą szybkością. Już daje się słyszeć trzask pę-
kających bierwion, kiedy nagle ukazały się ja-
guary na drugim końcu kładki. Guapo rąbie ze
zdwojoną szybkością, jeden z jaguarów wskakuje
na kładkę, szarpie pazurami korę, w kilku sko-
kach przebywa połowę mostu, ale most chwiać się
już zaczyna. Jeszcze parę potężnych uderzeń i
kłody pękają, padają w pieniące się fale rzeki,
unosząc z sobą jaguara. Indyanin wydał zwycięzki
okrzyk. Samica zginęła już na dnie przepaści, ale
samiec pozostał: widział on upadek swej towarzy-
szki i zdawało się, że pojmuje wszystko. Ze zdwo-
joną wściekłością zdaje się on rozmyślać nad ja-
kimś ostatnim rozpaczliwym czynem: jednym rzu-
tem oka zmierzył odległość, jaka go dzieli od nie-
przyjaciela — cofnął się w tył, zebrał, jakby sku-
pił całe ciało do potężnego skoku. Guapo tymcza-
sem przygotowywał się do przyjęcia go na prze-
ciwnym brzegu. Jaguar rzuca się, jak wichur prze-
latuje nad przepaścią i pazurami zaczepia się na
drugim brzegu, wisząc nad przepaścią, wdrapuje
się wyżej i straszną łapą dosięga nogi Guapa. —
Ale Indyanin oczekuje go z podniesioną siekierą,
uderza nią w głowę jaguara. Cios jednak był chy-
biony i Guapo zginąłby niezawodnie, ale don Pa-
blo jednocześnie przyłożył łufę do łba potwora i
położył go trupem na miejscu.

Guapo osłabiony nadzwyczajnym wysiłkiem i
bólami nie mógł się ruszyć z miejsca.

Don Pablo wziął wiernego sługę w ramiona
i zaniósł go do domu, gdzie donna Izydora długo
i troskliwie opatrywała mu ranę, zadaną straszli-
wymi pazurami jaguara.

Tratwa. — Wampir.

Wygnańcy pracowali nad zbiorom kory chi-
nowej jeszcze przez całe lato, nagromadzili jej tak
znaczne zapasy, że mogli już pomyśleć o opu-
szczeniu puszczy leśnej, w której przebyli dwa
lata. Nie tylko bowiem stęsknili się oni do oświe-
conej społeczności ludzkiej, ale ciążyła już im cią-
gła obawa, w jakiej żyli, przed tysiącem niebez-
pieczeństw, jakimi puszcza nieustannie im gro-
ziła: jaguary, pumy, węże jadowite, a nawet ple-
miona dzikich ludzi, mogły lada chwila stać się
przyczyną śmierci ich samych lub ich dzieci, albo
zniszczyć owoce ich wytrwałej dwuletniej pracy.
Don Pablo i jego żona żyli w nieustannym nie-
pokoju, co w końcu zmęczyło ich tak bardzo, że
postanowili wybrać się na koniec w podróż do
siedzib ludzkich. W tym celu zabrali się do bu-
dowy wielkiej tratwy, na której z nastaniem wio-
sny mieli popłynąć na wschód z biegiem rzeki.
Tratwę zbito z równych i gładkich bali, na wier-
chu zbudowano nie wielki domek palmowy, w
którym wygodnie mogła się pomieścić cała rodzina
i konieczne zapasy. Dla bezpieczeństwa przygoto-
wano trzy mocne i lekkie łódki. Korę chinową i
inne materiały, przeznaczone na sprzedaż, nała-
dowano na tratwę i starannie okryto liśćmi pal-
mowemi i wszystko do drogi było gotowe. Nale-
żało tylko przygotować zapasy żywności; zajmo-
wały się tem od dłuższego czasu donna Izydora
z Leonką, a Guapo zabił konia i inne zwierzęta
domowe, mięso ich ponacinane w pasy i dobrze
wysuszone miało służyć za główny pokarm w cza-
sie podróży.

Nakoniec cała rodzina opuściła domek pal-
mowy i żegnając nie bez żalu gościnne brzegi,
wsiadła na tratwę.

Wody rzeki płynęły szybko — tratwa kiero-
wana wprawna ręką Guapa w środek prądu, po-
suwała się z szybkością 5 wiorst na godzinę. Po-
dróżni przyglądali się ciekawie coraz nowym wi-
dokom, jakie przesawały się przed ich oczyma.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zmarznięty.

Mróz dokaczał siarczasty, śnieg skrzypiał
pod nogami, skrzypiały przeraźliwie koła od wo-
zów, drzewa były całkiem pokryte szronem, a
ludzie szli prędko, nie oglądając się; każdy zaś
wyglądał jak staruszek, bo włosy wszystkim zbie-
lały od szronu.

Drogą od Kielna do Chwaszczyna szło
dwóch trzynastoletnich chłopców, ubranych w cie-

ple kożuchy, baranie czapki i dostatnie buty. Nie mówili do siebie słowa, szli tylko prędko, żeby się rozgrzać i dostać jak najprędzej pod rodzinną strzechę.

Naraz na skrócie drogi starszy z chłopców, Maciś, ujrzał człowieka, leżącego w rowie.

— Patrz-no, Józiek! — zawołał na swego towarzysza — tutaj leży jakiś człowiek zmarznięty.

— A co nam do tego — rzeknie niechętnie Józiek — niech sobie leży.

— Jakto, niech sobie leży? Przecież go trzeba ratować.

— Pójdź, pójdź — mówi Józiek — to jakiś pijak, opił się gorzałki i śpi.

— A choćby też i pijak, ale przytrafiło mu się nieszczęście i może zamrzeć. Pójdź, natrzemy go śniegiem.

— To sobie trzymaj, ja ani myślę. Nie głupim marznąć, wolę iść.

— Idźcie sobie więc do domu — zawołał oburzony Maciś. Skoczył też zaraz do rowu i począł nacierać śniegiem skronie, twarz i ręce skostniałego biedaka.

Męczyl się z pół godziny i sam zmarł do brze, ale nie przestawał nacierać, bo twarz zaczęła się już czerwienić.

Wtem usłyszał zapytanie:

— Co ty tu robisz, chłopcze?

Spojrzał, przed nim stoją sanie, a w nich ksiądz starszek.

— Oto, dobrodzieju — odpowie Maciś — ratuję zmarłego człowieka.

— Czy to twój krewny? — zapytuje proboszcz.

— Ej, gdzie tam, jakiś obcy, ubogi — rzecze Maciś.

— A dla czegoż go ratujesz i sam ziębniesz? — pytał dalej ksiądz, bystro patrząc w oczy chłopcu.

— Bo to, dobrodzieju, mój bliźni.

Ksiądz uśmiechnął się przyjaźnie, a zsiadłszy z sań, włożył na nie przy pomocy Maciusia zmarzniętego biedaka, wziął chłopca z sobą i zawrócił do domu; tam po wielu staraniach otrzeźwiono zmarzniętego.

Biedaka włożono do łóżka, aby zupełnie wyzdrowiał, a proboszcz, wyszedłszy do swojej pracowni, powrócił za chwilę, niosąc w ręku piękną książeczkę do nabożeństwa.

— Jak ci imię, chłopcze? — zapytał dobrotliwie proboszcz.

— Maciej, proszę księdza proboszcza.

— A umiesz też po polsku czytać?

— Tak; ojciec już kilka lat trzyma „Gazetę Gdańską“ a na dodatku jej, „Aniele Stróżu“, uczył mnie czytać. Teraz, kiedy już dosyć dobrze czytam, muszę każdy numer „Gazety Gdańskiej“, „Gwiazdki“ i „Aniola Stróża“ przeczytać, z czego się wszyscy bardzo cieszymy, bo bardzo ładne powiastki w nich są.

— Bardzo jestem zadowolony, mój chłopcze, — rzekł proboszcz — i na pamiątkę spełnienia miłosiernego uczynku i w nagrodę za nauczanie się polskiego czytania, darnę ci tę oto książeczkę do nabożeństwa, która oby ci utorowała drogę do nieba.

Maciś, uratowany takim cennym podarkiem, pocałował dobrego proboszcza w rękę i pobiegł czempredzej do domu, aby pokazać rodzicom nagrodę, jaka go spotkała za spełnienie uczynku chrześcijańskiego.

J. P.



LAMIGŁOWKI

I.

Jeden wyraz — głosek pięć,
Niechaj zgadnie kto ma chęć.
Wyraz krótki, lecz gdy chcecie,
Trzy w nim rzeczy odnajdziecie:
Kto się uczył botaniki,
Zna zapewne i storczyki.
Otóż od nich lek pochodzi,
Co to wzmacnia i łagodzi,
I zapewne z tej przyczyny
Ważny on dla medycyny.

Teraz weźcie głoskę z przodu,
Wraz nazwisko będzie grodu.
Gród syryjski okazały,
Wielkie gmachy w nim istniały,
Kwitnął przemysł tam fabryczny,
I karawan poczet liczny
W różne strony wioził towary.
Jeszcze dzisiaj gród ten stary,
Duże w państwie ma znaczenie,
Choć straszne ziemi trząsienie
Przed kilkunastu laty
Wielkie zrządziło tam straty.

Na koniec, gdybyście chcieli,
Wyraz jeszcze się rozdzieli:
Z trzech ostatnich głosek jego
Możecie mieć coś słodkiego,
Co dobry wabik stanowi
I skutecznie muchy łowi.



Rozwiązanie lamigłówek z nr. 3.

I.

Tur — nie — je.

